

FIK CYJ NA DZIEW CZY NA

Ona jest pisarką.
Ale takiej historii by nie wymyśliła...

LUDKA SKRZYDLEWSKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://editio.pl/user/opinie/fkcdz>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-8447-7

Copyright © Helion S.A. 2022

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Prolog

Sześć lat wcześniej

BUDZĄ MNIE GŁOŚNE ŁOMOTY i krzyki w języku, którego nie znam.

Podrywam się z łóżka i pospiesznie przecieram oczy, a potem nagle czuję mocne szarpnięcie za włosy. Zaczynam wrzeszczeć, co natychmiast skutkuje silnym ciosem w twarz. Szczeka eksploduje mi bólem, w ustach czuję krew. Potem ląduję z impetem na kolanach obok łóżka.

— Vinnie! — słyszę rozpaczliwy głos Jamesa. — Zostawcie ją...

Kolejny odgłos uderzenia urywa jego wypowiedź, a ja jestem zbyt przerażona i zdeorientowana, by w ogóle się odezwać. Ktoś znowu ciągnie mnie za włosy, ale tym razem podnosi na nogi; robię kilka niepewnych kroków do przodu, aż silne ręce popychają mnie, dopóki nie stracę równowagi. Ponownie upadam na kolana, teraz na samym środku pokoju hotelowego, a kiedy na mojej dłoni zaciska się druga, większa, należąca do mojego narzeczonego, orientuję się, że James klęczy tuż obok.

— Nic ci nie jest, kochanie? — Zagląda mi w twarz, a jego oczy, w których widzę przerażenie, przesuwiają się od opuchniętej wargi do obolałego policzka.

Czuję mocno drżącą dłoń na skórze, gdy James dotyka mnie ostrożnie.

— Mordy w kubeł — rozlega się nad nami ostry, zachrypnięty głos z wyraźnym obcym akcentem.

Kulę się, ale dyskretnie podnoszę wzrok, by w panującym tu półmroku spróbować dostrzec, co się właściwie dzieje. Robi mi się niedobrze, gdy tylko ich zauważam.

Dwaj ciemnoskórzy, ubrani byle jak faceci właśnie przeszukują pokój. Trzeci stoi nad nami, trzymając długi, lśniący czernią karabin. Pierwszy raz w życiu widzę na żywo broń palną i to sprawia, że eksploduje we mnie strach. Dyszę i mocniej ściskam rękę Jamesa, odruchowo przysuwając się odrobinę do narzeczonego. Trzęsę się i na moment świat przed moimi oczami zawęża się, jakbym patrzyła z dna głębokiej studni.

— Bierzcie, co chcecie, tylko nie róbcie nam krzywdy — słyszę jedynie trochę przestraszony głos Jamesa.

Faceci nie zwracają uwagi na jego słowa. Wrzucają do torby wszystkie znalezione rzeczy: laptopy, aparat fotograficzny, telefony, portfele. Przerzucają nasze ubrania, niszcząc je bez odrobiny skrupułów, a ja trzęsę się jak osika, nie mogąc oderwać od nich wzroku.

To pierwsze wakacje, które spędzamy sami. Miesiącami odkładaliśmy pieniądze, żeby polecieć na safari. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że ten wypad może się tak skończyć...

Wreszcie powoli przenoszę wzrok na pilnującego nas faceta z karabinem. Napotykam jego pociemniałe spojrzenie i drzę jeszcze bardziej, gdy widzę, jak lustruje moje ciało. Jestem boleśnie świadoma faktu, że mam na sobie jedynie obszerną koszulkę Jamesa, w której zazwyczaj sypiam, i majtki. Sądząc po tym, w jaki sposób mi się przygląda, mężczyzna też jest tego świadomy.

Kulę się nieco, kiedy przybliży się o krok i staje tuż przede mną. James chwyta mnie mocniej za rękę, a gdy spoglądam na niego kątem oka, widzę, jak drga mu mięsień w policzku. Tak mocno zacisnął szczękę, że pewnie nie byłby w stanie powiedzieć ani słowa. Błagam go spojrzeniem i lekkim potrząśnięciem głowy, żeby nie robił niczego głupiego, ale nie wiem, na ile mnie rozumie.

— Zabierzemy, co chcemy, i już nas nie ma — odzywa się z drwiną napastnik. Lufa karabinu zbliży się do mojego ciała, a kiedy dotyka lekko miejsca pomiędzy piersiami, wstrzymuję oddech i z oczu zaczynają mi płynąć łzy. — No chyba, że chcesz nam dać coś jeszcze, ślicznotko.

Zaciskam mocniej palce wokół dłoni Jamesa, bo po tych słowach czuję drganie jego ciała.

Nie rób nic głupiego, nie rób nic głupiego, powtarzam w myślach jak mantrę, próbując odciąć się psychicznie od tego obrzydliwego typu.

On jednak wcale ze mną nie skończył. Lufa niespiesznie ześlizguje się z mojej klatki piersiowej na brzuch, z kolei moje serce wali jak szalone, doskonale świadome, że bardzo niewiele brakuje, żeby karabin wystrzelił i zrobił we mnie dziurę, której żaden lekarz nie byłby w stanie załatać. Z gardła wyrывa mi się szloch, ponieważ mężczyzna przesuwa broń jeszcze niżej, aż wciska ją między moje nogi i dotyka mnie w kroku.

— Nigdy nie posuwałem białaski — słyszę znowu jego głos. Płacząc już całkiem otwarcie, kiedy lufą karabinu podnosi nieco moją koszulkę. — Ciekawe, czy jęczycie tak samo jak nasze kobiety.

Właśnie wtedy opanowanie Jamesa się kończy.

Wystrzeliwuje w górę, zanim zdążę choćby mrugnąć. Puszczają mnie, po czym rzuca się na czarnoskórego mężczyznę, aż obaj padają na podłogę. Odczołguję się bliżej łóżka, kiedy znika nacisk lufy na moje ciało, i widzę, jak bandzior mocno uderza Jamesa w twarz. Pozostali uczestnicy napadu tylko gapią się z zainteresowaniem na swojego kolegę.

— Błagam, nie róbcie mu krzywdy! — krzyczę rozpaczliwie. — James, nie!

Moje słowa zagłusza wystrzał, a równocześnie z nim moje serce zamiera.

James przestaje się ruszać, a napastnik zrzuca go z siebie niczym szmacianą lalkę. Gdy mój narzeczony ląduje na plecach, z przerażeniem zauważam, że na wysokości jego klatki piersiowej, za którą się trzyma, pojawia się czerwona plama, która bardzo szybko się powiększa.

Nie! Błagam. To nie może być prawda...

— James! — drę się na cały głos.

Chcę do niego podbiec, ale uderzenie w twarz sprawia, że ląduję na podłodze. Kulę się, jednak następne ciosy nie nadchodzą.

— Kurwa! Bez strzelania — odzywa się po angielsku jeden z napastników, stanowczo za późno.

Faceci zaczynają się kłócić w swoim języku. Spoglądam na nich ze strachem, ale oni już zdają się nie zwracać na mnie uwagi; zabierają torby pełne naszych rzeczy i kierują się do wyjścia w wyraźnym pośpiechu. Czekam, aż znikną z zasięgu mojego wzroku, zanim podniosę się na nogi. Cała twarz mnie boli, czego prawie nie zauważam, zajęta jedynie postrzelonym mężczyzną leżącym na podłodze pokoju hotelowego.

Jest przytomny, gdy do niego docieram. Odruchowo kładę swoje dłonie na jego, próbując pomóc mu zatamować krwawienie. W moich oczach ponownie pojawiają się łzy, kiedy na niego patrzę. James wędruje spojrzeniem ode mnie do kolejnych rzeczy wokół nas, nie potrafiąc na niczym go skupić.

— James, proszę — szepczę. Jestem bezradna. W głowie mam pustkę i zero pojęcia, jak ratować narzeczonego. Nie mogę zostawić go samego. Ani wezwać pomocy, bo napastnicy zabrali przecież mój telefon. Co robić?! — Proszę, nie zostawiaj mnie...

— Kocham cię, Vinnie — słyszę słaby głos.

Nie. To nie może być prawda. To nie może się tak skończyć!

— Pomocy! — drę się na całe gardło, nie zważając już, czy tamte bandziory mogą mnie usłyszeć albo tu wrócić. — Pomocy, mam rannego! Niech mi ktoś pomoże, błagam! — Krzyczę jeszcze przez chwilę, ale kiedy James chwytą mnie mocniej, zmuszając, żebym na niego spojrzała, robię to posłusznie, mrugając, by w ogóle go zobaczyć, bo oczy mam pełne łez. — Zaraz ktoś nam pomoże, James. Kochanie, proszę, nie zostawiaj mnie. Proszę. Zaraz pojawi się pomoc. Uratują cię. Proszę, nie zostawiaj mnie. Tak bardzo cię kocham...

Serce rozdzierają mi rozpacz i strach, gdy patrzę na mężczyznę w moich ramionach. Mojego mężczyznę. Mojego umierającego mężczyznę.

Wiem, że kiedy przybędzie pomoc, dla niego będzie już za późno.

Rozdział 1.

Obecnie

WŁAŚNIE WTEDY ROBIĘ OSTATNI KROK i spadam w przepaść.

Nie czuję już strachu.

Odrywam wzrok od ekranu laptopa i przecieram oczy. Po chwili dodaję słowo „KONIEC” i zapisuję plik. Przez moment z wahaniem wpatruję się w komputer.

Na pewno chcesz to zrobić, Vinnie?

Tak, odpowiadam sobie w myślach, po czym wchodzę na pocztę, tworzę nową wiadomość i załączam do niej odpowiedni plik. Wiem, że tak musi być. Chociaż trochę się tego obawiam, jestem pewna, że sobie poradzę.

— Vinnie? — Na zaplecze zagląda Melanie, uśmiechając się do mnie lekko. — Przygotowałam wystawę. Chcesz zobaczyć?

Kiwam głową i wysyłam maila, zanim zdążę się rozmyślić. Chwytam komórkę i podążam za przyjaciółką.

Księgarnia, gdzie pracuję, składa się z jednego dużego pomieszczenia, którego odpowiednie części wydzieliłam za pomocą kolejnych regałów. Po prawej stronie od wejścia znajduje się długa, szeroka lada — można tam nie tylko zapłacić za książki, ale też kupić kawę czy herbatę. Naprzeciwko niej ustawiłam kilka stolików i totalnie do nich niepasujące krzesła, a dopiero głębiej zaczynają się regały z książkami. Pierwszą linię stanowi literatura kobieca, bo ta sprzedaje się najlepiej, niemniej labirynt korytarzy może zaprowadzić ciekawskich także do kryminałów, horrorów, fantastyki, science fiction, literatury popularnonaukowej, dziecięcej, przewodników i wielu, wielu innych gatunków.

Uwielbiam specyficzny zapach, który unosi się w księgarni: książek i dobrej kawy. Uspokaja mnie za każdym razem, gdy tu jestem. Dlatego lubię pisać właśnie w tym miejscu, przy niewielkim stoliku wciśniętym między kryminały Cobena a thrillery Kinga.

Idąc za Melanie, mijam rozmaite działy oraz regały. Za kasą stoi Emma, kolejny z moich pracowników. Trzeci jest Zack, ale oni we trójkę zawsze tak wymieniają się zmianami, żeby nie robić za dużo godzin w tygodniu.

Trudno o dwie bardziej różniące się od siebie osoby niż Melanie i Emma, jednak kocham te dziewczyny równie mocno i one też jakimś cudem znalazły ze sobą wspólny język. Emma to wysoka, blada blondynka, która dorabia sobie na studiach — uczy się kreatywnego pisanie i kiedyś chciałaby tworzyć scenariusze filmowe. Pewnie skończy jako copywriterka w jakiejś agencji reklamowej, ale kim ja jestem, żeby zabijać jej marzenia. Melanie z kolei to moja przyjaciółka jeszcze z czasów podstawówki. Zawsze ubiera się na czarno i fioletowo, podobnych kolorów używa też w swoim mocnym, ciemnym makiżażu, co zresztą często odstrasza ludzi. Czarne włosy spleta w mnóstwo malutkich warkoczyków — w których widać fioletowe pasma — a te związuje w kucyk wysoko na głowie. Poza tym Mel ma sporo kolczyków na twarzy i nie tylko. Ktoś mógłby uznać, że to kiepski wybór na sprzedawczynię w księgarni, ale ja wiem lepiej. Melanie posiada wrodzony talent, jeśli chodzi o udaną sprzedaż, i pewnie byłaby w stanie wcisnąć nawet piasek Beduinowi.

Choć moja przyjaciółka skończyła psychologię, nienawidzi zarówno swoich studiów, jak i perspektywy pracy w zawodzie, dlatego od kilku lat pomaga mi w prowadzeniu interesu. Jej rodzice są przez to zrozpaczeni.

Melanie prowadzi mnie obok kasy do wyjścia, gdzie znajduje się nasza jedyna witryna. Księgarnia jest bardziej głęboka niż szeroka, mamy więc niewiele miejsca, by wyeksponować nasze atuty i zainteresować potencjalnego czytelnika asortymentem na ciekawej wystawie. Zazwyczaj ustawiamy tam po prostu nowości, lecz tym razem Mel poprosiła o wolną rękę i jej ją dałam, wiedząc, że tego nie pożałuję.

Witryna wychodzi na dwupasmową Smith Street, a księgarnię usytuowano w samym sercu Cobble Hill, na Brooklynie. Budynek jest narożny, co sprawia, że okna mojego znajdującego się na piętrze mieszkania są zwrócone na mniej ruchliwą, bardziej zieloną Wyckoff Street. To dobre miejsce do życia. Kiedy przeprowadziłam się tu pięć lat temu, będąc jeszcze w całkowitej rozsypce, ta okolica była jednym z czynników, które pomogły mi się pozbierać.

Oczywiście nie tym głównym.

Parskam śmiechem, gdy Melanie doprowadza mnie w końcu do witryny i pokazuje mi ją gestem wytrawnego sprzedawcy, z szerokim uśmiechem na ustach. Zrobiła piękną wystawę dla jednej autorki, która w ciągu ostatnich czterech lat wydała pięć książek. Okładki do siebie pasują, więc kompozycja nie mogła wyglądać źle.

— Candice Bloom? — pytam z niedowierzaniem. — Dlaczego akurat ona?

— Bo to gorący towar, Vinnie. — Melanie wzrusza ramionami. — Dlaczego cię to bawi? Daj spokój, wyszło super.

— No dobra, ale czemu właśnie teraz?

— Bo dopiero co miała premierę? — Przyjaciółka przewraca oczami. — I z pewnością niedługo będzie miała kolejną. Wiesz, że uwielbiam jej książki. Zresztą jak połowa kobiet w tym kraju, na litość boską. To przyciągnie jeszcze więcej klientek, zobaczysz!

Kiwam głową, bo jestem skłonna w to uwierzyć. Candice Bloom jest odkryciem ostatnich lat.

— No dobra — przyznaję niechętnie, po czym wskazuję na hasło reklamowe: „Poznaj powieści najgorętszej pisarki z Brooklynu”. — Ale skąd ten slogan? Skąd niby wiesz, że Bloom jest z Brooklynu? Może mieszkać w całym kraju.

— Nie wiem — odpiera Melanie radośnie. — Ale z pewnością tutaj mieszka albo doskonale zna to miejsce. Daj spokój, na pewno widziałas to w jej książkach. Sposób, w jaki opisuje Brooklyn... Tylko ktoś, kto spędził tu mnóstwo czasu, potrafiłby to tak zrobić. Jestem przekonana, że mieszka w naszej dzielnicy. Więc dlaczego do szpiku brooklyńska księgarnia nie miałyby jej zareklamować?

No właśnie, dlaczego?

Candice Bloom to zagadka. Nigdy nie ujawniła się publicznie i nie podaje prywatnych informacji na swój temat. Na pewno wiadomo o niej jedynie tyle, że pisze pod pseudonimem. Obawiam się, że slogan reklamowy Melanie, jakoby Candice Bloom pochodziła z Brooklynu, przyciągnie do nas raczej świrów, którzy próbują dowiedzieć się czegoś na jej temat. Nie chcę, żeby BestBooks przykuwała więcej uwagi niż to absolutnie konieczne.

Najwyraźniej jednak moja przyjaciółka jest innego zdania. Nic dziwnego, w końcu ma B2C¹ we krwi. Najchętniej zamieniłaby BestBooks w sieć franczyzową z punktami w każdym większym mieście w Stanach.

Po moim trupie.

— Nie podoba ci się? — Kiedy nie odpowiadam, Melanie robi zawiedzioną minę. Jej miny działają na mnie prawie tak mocno jak nieszczęśliwe szczeniaczki, więc oczywiście się uginam.

— Podoba mi się, kochana — zapewniam, przyglądając się fioletowo-niebieskiej witrynie. Wszystkie okładki powieści Candice Bloom są utrzymane w takiej kolorystyce, dlatego wystawa nie mogła być inna. — Dziękuję, Mel, jest naprawdę piękna. Zastanawiam się tylko, czy poradzimy sobie z obsługą klientów, gdy już zwałą się do nas drzwiami i oknami.

Przytulam ją spontanicznie, a ona rozpromienia się wyraźnie zadowolona, że sprostала moim oczekiwaniom. Nie wie, że nie mogłaby zrobić absolutnie nic, by je zawieść.

Cofamy się do środka księgarni i właśnie wtedy dzwoni moja komórka. Kiedy ją wyciągam, na ekranie widzę znajomy podpis.

Dupek H.

Mel zagląda mi przez ramię i parska śmiechem.

— Znowu ten tajemniczy dupek — komentuje z rozbawieniem.
— Zdradzisz mi w końcu, czemu tak go zapisałaś i kim właściwie

¹ Ang. *business-to-consumer* — nazwa relacji występujących pomiędzy przedsiębiorstwami i klientami indywidualnymi — *przyp. aut.*

jest, że do ciebie dzwoni, chociaż zdecydowanie nie palisz się do rozmowy z nim?

Krzywię się, nie odrywając wzroku od telefonu.

— To jeden z moich współpracowników — odpowiadam oględnie. — Nie mogę sobie pozwolić na luksus w postaci rezygnacji z jego usług.

Na razie.

Uśmiecham się do przyjaciółki ostatni raz i odchodzę na bok, do działu książek dla dzieci, żeby odebrać. Jest tam zaskakująco pusto, dlatego udaje mi się usiąść na jednym z kolorowych, miniaturowych krzeseł przy równie miniaturowym stoliku.

— Lavinia Hayes, słucham — przedstawiam się oficjalnie, jak zawsze, gdy odbieram telefon od *Dupka H.*

— Wayne Harrington — słyszę znajomy, lekko zachrypnięty głos. Gość nawet nie powiedział mi „dzień dobry”, ale to nic nowego. — Otrzymałem pani maila. Czy moglibyśmy się spotkać, żeby to przedyskutować?

Jego ton jest ostry i nie pozostawia wątpliwości co do reakcji mężczyzny na plik, który mu przesłałam. Przygryzam wargę, by nie zaśmiać się do słuchawki.

Zazwyczaj ten facet niesamowicie mnie irytuje, tymczasem dzisiaj dla odmiany głównie bawi. Może dlatego, że znalazłam dla siebie wyjście z sytuacji, w której byłam na niego skazana.

Choć domyślałam się, że nie puści mnie bez słowa, nie spodziewałam się, że zadzwoni tak prędko, nawet jeśli zerknął wyłącznie na zakończenie. Po prostu nie sądziłam, że tak szybko w ogóle przeczyta moją wiadomość.

Gdyby nie fakt, że musimy ze sobą współpracować, zapewne miałby utworzoną regułę, aby moje maile trafiały prosto do spamu.

— Oczywiście — zgadzam się beztrąsko. — Kiedy?

— Dzisiaj w porze lunchu?

Wow, niezłe tempo, myślę z niejakim zaskoczeniem.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że jemu zależy bardziej niż mnie, ale Wayne Harrington zawsze jawił mi się jako mężczyzna, który

ma wszystko pod kontrolą i świetnie przemyślane. Dziwne, że aż tak pokazuje po sobie zaangażowanie.

Może jednak chodzić o coś innego, niż mi się wydaje. Jeśli nie pójdę na spotkanie, to się nie dowiem.

— Proszę chwilę poczekać, sprawdzę w kalendarzu. — Nie czekając na odpowiedź, odkładam na moment komórkę na stolik i chwytam pierwszą z brzegu książeczkę dla dzieci, następnie zaczynam ją bezmyślnie kartkować. Nie patrzę na kolorowe obrazki, które przewijają mi się przed oczami. Liczę do dziesięciu, po czym ponownie przystawiam telefon do ucha. — W porządku, może być lunch.

— Doskonale. W takim razie zapraszam do Crafta o pierwszej — oświadcza, czym znowu wyprowadza mnie z równowagi. Czy naprawdę zabiłoby go, gdyby zapytał, jaka knajpa mi odpowiada? — Zrobię rezerwację.

Rozłącza się bez słowa więcej, nie czekając na potwierdzenie ani zgodę. Wayne Harrington jak zwykle robi wszystko po swojemu, bo do tego był przyzwyczajany przez całe swoje życie.

To jemu ma zależeć i to on powinien być uprzejmy, myślę z irytacją.

Chowam komórkę do kieszeni džinsów, a potem wracam do głównego wejścia, gdzie Mel właśnie gawędzi przy kasie z Emmą.

— Będę musiała wyjść na lunch — mówię, stając obok nich. Dziewczyny zgodnie kiwają głowami. — Poradzicie sobie same?

— Jasne — potwierdza Emma, a Mel dodaje:

— Pamiętaj, że ma przyjść Robert Moore? Nie zapowiadał się na konkretną godzinę, ale chciał to załatwić dzisiaj.

Szlag. Zupełnie o tym zapomniałam.

— Dasz sobie radę w razie czego — zapewniam ją. — To nic takiego. Oprowadź go, zapisz jego stawkę, ale nie odpowiadaj od razu. Zajrzyj do kalendarza, kiedy poda datę.

Melanie posyła mi niepewne spojrzenie.

— No wiesz, sądziłam, że chcesz... sama z nim porozmawiać.

Krzywię się.

Robert Moore to poczytny ostatnio, wydający samodzielnie pi-sarz kryminałów, który pewnego dnia odwiedził moją księgarnię

i uznał, że to doskonałe miejsce na spotkanie autorskie. Ponieważ się spieszył, dostał wizytówkę i obiecał, że wpadnie, żeby rozzejrzeć się dokładniej, bo najwyraźniej postanowił załatwić to osobiście zamiast przez swojego agenta. Spędziłam z nim kilka minut i jakoś nie miałam ochoty na więcej.

Od pierwszego spojrzenia ten facet wydał mi się strasznie zarozumiały. Jakby napisanie trzech bestsellerów robiło z niego jakiegoś ważnego autora.

— Nie chcę — protestuję. — Ty na pewno świetnie się z nim dogadasz, Mel. Pokaż mu witrynę, możemy zrobić ją też dla niego, gdy będzie miał spotkanie — dodaję. — Fani mogą kupować jego książki od niego, ale może przy okazji skuszą się na coś jeszcze. Warto spróbować.

Choć BestBooks nie należy do największych ani najlepiej prosperujących księgarni w Nowym Jorku, jest stylowa i klimatyczna. Typowo brooklyńska. Nie dziwi mnie, że pisarze i wydawnictwa chcą organizować tu spotkania autorskie, ponieważ to świetne miejsce. Autorzy kosztują tyle, że czasami muszę dokładać do interesu. Najważniejsze, żeby księgarnia utrzymała moich pracowników, nie mnie; ja tak czy inaczej mam z czego żyć. Niemniej warto w te spotkania inwestować, bo stanowią dodatkową promocję.

BestBooks to moje miejsce na ziemi i zrobię wszystko, żeby utrzymać je na powierzchni. Nawet jeśli w tym celu miałabym rozmawiać z oślizgłymi typami pokroju Roberta Moore'a.

— Spoko, myślę, że sobie poradzę. — Melanie mruga do mnie, a ja jestem przekonana, że rzeczywiście tak będzie. — Masz coś ważnego do załatwienia?

Nie lubię jej okłamywać, ale w tej jednej sprawie robię to bez ustanku od pięciu lat. W zasadzie nie wiem dlaczego. Nie potrafię logicznie wyjaśnić, czemu ukryłam przed nią oraz innymi znajomymi tak istotną część mojego życia. Mel jednak, nawet jeśli zauważyła, że czegoś jej nie mówię, nigdy nie powiedziała na ten temat ani słowa.

Uśmiecham się tylko enigmatycznie i mrużę coś niezobowiązującego, po czym idę z powrotem na zaplecze. Potrzebuję trochę czasu, by dojechać na Manhattan.

Biorę torebkę, zostawiam laptopa na stoliku — w tym samym miejscu, w którym dołożyłam ostatnie zdania mojej najnowszej powieści — następnie zbieram się do wyjścia. Na wszelki wypadek kontroluję jeszcze swój wygląd w lustrze. Jest dobrze: wprawdzie mam na sobie dżinsy, ale na stopach szpilki, a teraz dodatkowo zarzucam na ramiona krótki, jasny żakiet. Wyglądam prawie tak biznesowo, jak powinnam.

Z moimi miodowymi włosami, równie miodowymi oczami i lekko opaloną skórą plasuję się między Emmą a Melanie. Kiedy jesteśmy w księgarni we trzy, znacznie częściej zachodzą do nas mężczyźni, niż gdy kasę obsługuje Zack. Przyjmuję to jako coś oczywistego i nawet nie próbuję się wściekać, bo i tak nie uda mi się zmienić całego świata.

— Wychodzę — oznajmiam, mijając stojącą za ladą Emmę. Ta jedynie macha mi na pożegnanie i się uśmiecha, a Mel gdzieś z głębi księgarni krzyczy:

— Wróć przed czwartą! Pamiętaj, że mam dzisiaj randkę i chciałam wyjść wcześniej!

Przewracam oczami, ale posłusznie potwierdzam.

Jakby mój lunch z Wayne'em Harringtonem mógł potrwać trzy godziny. Jasne.

* * *

WŁAŚNIE WYCHODZĘ Z METRA, gdy rozdzwania się moja komórka.

Kwiecień w Nowym Jorku jest chłodny, wietrzny i pochmurny. W powietrzu wciąż czuć deszcz, kiedy pojawiaam się na Dwudziestej Trzeciej i ruszam w dół Park Avenue. To ładna, szeroka ulica z kłombami drzew między pasami, gdzie po obydwu stronach jezdni wznoszą się kilkupiętrowe, stare kamienice.

Wyciągam komórkę z kieszeni dżinsów i krzywię się, widząc, że dzwoni mama.

— Dzień dobry, kochanie — odzywa się, gdy odbieram. — Co słyszać?

— Wszystko w porządku, mamó — zapewniam ją ciepło. — Dużo pracy w księgarni.

Przez chwilę w słuchawce panuje cisza.

Chociaż moja matka jest cudownym człowiekiem, wciąż tak do końca nie pogodziła się z faktem, że zrezygnowałam ze świetnie płatnej pracy w finansach na Manhattanie, by prowadzić kame-ralną księgarnię gdzieś na Brooklynie. Co prawda nigdy mi tego nie okazuje, ale wiem o tym doskonale.

— To dobrze — mówi w końcu nieco zbyt radośnie. — Pamiętasz, że w przyszłym miesiącu są moje urodziny? Chcemy z tatą wy-prawić niewielkie przyjęcie i miałam nadzieję, że przyjdiesz.

Urodziny mamy. Sześćdziesiąte. Oczywiście, że nigdy bym nie zapomniała, zamierzałam również do nich pojechać. Ale nie przy-puszczałam, że zorganizują jakiegokolwiek przyjęcie.

— Kogo zapraszacie? — pytam płaskim głosem.

Mama waha się przez sekundę.

— Och, wiesz, tylko kilka osób — zapewnia. — Ciocię Margaret z mężem i twojego kuzyna. I... Alice.

Chociaż mogłam się tego spodziewać, robi mi się trochę niedo-brze, gdy to słyszę. Nic dziwnego, że zapraszają sąsiadkę, która jest przyjaciółką mamy od ponad trzydziestu lat.

Wyłącznie przypadek sprawia, że to równocześnie matka mojego zmarłego sześć lat temu narzeczonego.

Zazwyczaj się trzymam, jednak nic nie poradzę, że unikam Alice, jak mogę. Nigdy nie powiedziała ani jednego złego słowa na mój temat. Kiedy James żył, kochała mnie jak własną córkę. Potem nasz ból nas od siebie oddalił i nie mogłam jej za to winić. Ale później...

Za każdym razem, gdy spoglądam jej w oczy, mam wrażenie, że w głębi duszy ona ma do mnie pretensje, że przeżyłam ja, a nie jej syn.

Zdaję sobie sprawę, że to z pewnością moje urojenia i Alice wcale nie myśli niczego takiego. To dobra, ciepła kobieta, która przywi-tała mnie w swojej rodzinie bez choćby jednego pytania. A mimo to

tak właśnie czuję, kiedy na nią patrzę, co sprawia, że staram się jej unikać, bo wiem, że to świadczy o moich problemach, nie jej.

Niemniej zrobiłam już tyle kroków, aby zostawić przeszłość za sobą, że nie mogę cofnąć się przed kolejnym.

— Jasne — odpowiadam więc, próbując brzmieć naturalnie. — Chętnie wpadnę.

Mama coś tam jeszcze mówi, ale jej słowa są dla mnie jak szum w tle. Muszę sobie z tym jakoś wreszcie poradzić. Wystarczająco dużo czasu zmarnowałam.

James by tego dla mnie nie chciał.

Kończę rozmowę pod samym wejściem do restauracji. Chociaż jestem jakieś pięć minut spóźniona, mam ochotę jeszcze zwolnić kroku, żeby Wayne Harrington musiał na mnie dłużej czekać. Potrzebuję chwili, żeby się uspokoić, gdy w końcu chowam komórkę do kieszeni dżinsów. Opieram się o ścianę obok wejścia do Crafta i pozwalam sobie na kilka głębokich, drżących oddechów.

Wszystko będzie dobrze, przekonuję siebie. Jesteś gotowa, by to zrobić, Vinnie. Dasz sobie radę.

Te ostatnie słowa w mojej głowie wybrzmiewają znajomym, ciepłym głosem i niemalże czuję tuż obok obecność Jamesa. Przez te sześć lat zapomniałam o wielu szczegółach dotyczących mojego narzeczonego. Nie pamiętam, jak dokładnie czesał włosy ani co konkretnie musiałam zrobić, żeby wyprowadzić go z równowagi. Nie pamiętam, jakie były objawy jego rozbawienia, kiedy bardzo nie chciał go po sobie pokazać, czy w jaki sposób się śmiał. Ale doskonale pamiętam brzmienie jego głosu i chyba dlatego ciągle zdarza się, że słyszę go w swojej głowie.

Czasami to pomaga. A czasami sprawia, że czuję się jeszcze bardziej samotna i nieszczęśliwa.

Dotykam pierścionka zaręczynowego, który ciągle noszę na palcu. Pewnie powinnam przestać, tyle że nie potrafię się do tego zmusić. Naprawdę kochałam Jamesa. Trudno mi o tym zapomnieć, nawet po takim czasie.

Odrywam się w końcu od ściany i wchodzę do restauracji spóźniona zaledwie dziesięć minut. Już z daleka mój wzrok przykuwa wyprostowana niczym struna, wysoka postać mojego wydawcy. Wayne Harrington siedzi pod oknem i co chwila zerka na zegarek na przegubie, wyraźnie zniecierpliwiony moim spóźnieniem.

Uśmiecham się mściwie i natychmiast zapominam o urodzinach mamy, Alice i Jamesie. Lawiruję między stolikami i podchodzę bliżej, aż Harrington w końcu spogląda w moją stronę z irytacją, a ja udaję, że to w żaden sposób na mnie nie działa.

Byłoby dużo prościej, gdyby on nie był tak szorstko przystojny.

— Dzień dobry — mówi, podnosząc się nieco, kiedy zajmuję miejsce naprzeciwko niego. No proszę, co za dżentelmen. — Miło panią znowu widzieć, Lavinio Hayes. A może powinienem powiedzieć: Candice Bloom?

Posyłam mu bardzo uprzejmy i bardzo sztywny uśmiech.

— Lavinia Hayes będzie idealnie.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Sześć lat po dramatycznych wydarzeniach, które całkowicie zrujnowały jej życie, Lavinia Hayes wciąż zмага się ze stresem pourazowym. Wydaje się jednak, że wreszcie powoli wychodzi na prostą. Odnosi sukcesy jako autorka bestsellerowych thrillerów erotycznych, ale starannie ukrywa przed światem swoją prawdziwą tożsamość. Wygląda na to, że przeszłość przestaje kłaść się cieniem na życiu Lavinii i w końcu na dłuższej zagości w nim spokój.

Tymczasem właśnie wtedy zaczyna dostawać wiadomości od stalkera. Ten ktoś najwyraźniej zna sekret, którego do tej pory dokładnie strzegli i pisarka, i jej wydawca. Jeśli zostanie ujawniony, może się stać groźny dla kariery, a nawet życia młodej kobiety. Jediną osobą, na której pomoc może ona liczyć w tej sytuacji, jest Wayne Harrington, szef wydawnictwa. Nie darzyła go do tej pory specjalną sympatią — mimo że niewątpliwie ma mnóstwo uroku — a to ze względu na jego niechęć do jej twórczości. Oboje jednak postanawiają odłożyć animozje na bok i zbliżyć się do siebie, bo tajemniczy prześladowca staje się coraz bardziej niebezpieczny i bezwzględny, a Vinnie nie ma pojęcia, komu powinna ufać...

LUDKA SKRZYDLEWSKA sięga po swój sprawdzony przepis i zaczyna najnowszą powieść od trzęsienia ziemi, a potem sprawia, że napięcie tylko rośnie — zarówno między dwojgiem bohaterów, jak i w kryminalnej intrydze.

PATRONI MEDIALNI



ebook dostępny na:
ebookpoint

ISBN 978-83-283-8447-7



9 788328 384477

Cena: 44,90 zł